

SAGA
O KOTOLAKU
KSIN NA BAGNACH CZASU

SAGA

O KOTOLAKU

KSIN. POCZĄTEK
KSIN DRAPIEŻCA
KSIN SOBOWTÓR
RÓŻANOOKA
KSIN KOCZOWNIK
KSIN NA BAGNACH CZASU

KONRAD T.
LEWANDOWSKI

SAGA
O KOTOLAKU
KSIN NA BAGNACH CZASU

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017
Text © copyright by Konrad T. Lewandowski, 2017

Ilustracje na okładce *Kerem Beyit*
Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*

1

ZDRADLIWY MARAZM

Po co komu mur obronny na brzegu Morza Czasu?

Ksin wychylony z blanki patrzył na nowy pochód zjaw wyłaniających się z pustynnej kurzawy jakieś pół mili dalej. Pół mili? Jaki sens miała tutaj ta miara? Może raczej należałoby powiedzieć: pięćset lat? Ale kto i jak by to policzył? Tutaj nawet sama pustynia była mirażem. Tylko na pierwszy rzut oka dało się dostrzec jakieś kamienie, skałki, łachy rudych piasków, rachityczne, pożółkłe rośliny, daleko – uschłe drzewo. Za drugim spojrzeniem wszystko się zmieniało, nic nie było takie samo ani w tym samym miejscu. Starczyło na chwilę odwrócić wzrok. Powierzchnia Morza Czasu zmieniała się niczym obłoki na niebie i wciąż coś się z niej wyłaniało – jakieś miasta, jakieś armie, grupy ludzi albo samotni wędrowcy. Bywały nawet statki, a także płonące wieże obłąnnicze, ołtarze jakichś bogów i tłumne misteria wokół nich. Czasem blisko, zdawałoby się: o rzut kamieniem, niekiedy zaś tak daleko, że nawet kotołak nie mógł dojrzeć szczegółów.

Kolejna fala przeszłości zbliżała się do murów Porzuczonego Miasta, które trzy miesiące temu obrali za stolicę

swojego Państwa. Oficjalnie nazywało się Amarsin, na cześć królewskiej pary, ale Ksin nie uznał tej nazwy, wołał poznać prawdziwą. Podobnie irytował go własny tytuł królewski, którym spontanicznie obdarzyli go poddani, zaraz po przybyciu tutaj. Nie chciał słyszeć o koronacji. Uważał, że byłaby to błazenada. Jeszcze nie zasłużyli na to miejsce. Amarsin nie należało do nich. Nie wzniesli go, nie poznali jego historii. Do tej pory nie wyjaśniła się żadna istotna zagadka. Zwłaszcza ta najważniejsza: dlaczego zastali to miasto opuszczone? Żyli tutaj, lecz niczego nie pojmowali.

Tyle dobrego, że koczownicy Ksina już nauczyli się wykorzystywać niektóre magiczne urządzenia, na przykład te kierujące przepływem czasu na polach uprawnych, pozwalające uzyskać szybki wzrost plonów. Ponadto trochę lepiej zorientowali się w topografii tej okolicy czy też krainy. A może raczej należałoby powiedzieć: chronografii?

Ksin chwilami odnosił wrażenie, że za dużo myśli, ale nic innego nie miał do roboty. Mógł jeszcze oszaleć, rozważając stan, w jakim znalazła się jego Amarelis...

Lepiej jednak było czekać, trzymać nerwy na wodzy i stwarzać pozory. Niczemu nie mógł zaradzić, nic odkryć, o niczym stanowczo zdecydować. Nawet dotychczasowe poczucie władzy gdzieś się zapodziało. Było ich niecałe trzy tysiące w mieście, w którym pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców znalazłoby dość domów i wygod. Koczownicy po prostu wsiąkli w gąbkę murów i rozproszyli się w nich. Człowiek na ulicy był rzadkością, a bywały dni, gdy Ksin spotykał nie więcej niż kilkanaście osób ze swego najbliższego otoczenia. Zastanawiał się czasem, ile by

trwało zebranie całej podległej mu konfederacji plemion na jednym miejskim placu?

Wszakże zbierać nie było po co. Przybyli tu, osiągnęli swój raj i niemal od razu pograżyli się w stagnacji. Czyżby jednak dosięgła ich klątwa Państwa, pozwalająca ku wzniosłemu marzeniu dążyć, ale nie je ziszczyć? Kotołak odrzucił od siebie tę myśl. Jeszcze tylko tego brakowało, by on, władca, poddał się zwątpieniu! Przecież jednak tak beznadziejnie nie było. Należało w to wierzyć...

Fragment Pustyni Zmian, który początkowo nazwali Jeziorem Czasu, okazał się w istocie płytką zatoką, laguną znacznie większego Morza lub nawet Oceanu Czasu. Płytką w sensie głębokości i krótkotrwałości zmian, na które narażeni byli wędrowcy. Na tyle płytką, że przeszli, nie wystawiając się na większe niebezpieczeństwo. Potem okazało się, że Porzucone Miasto wzniesiono na półwyspie – fragmencie stabilnej teraźniejszości, wciśniętym pomiędzy lagunę a morze, z pozoru niczym nieróżniące się między sobą. A jednak różnica głębi była zawrotna. Zdawałoby się, pustynia jak pustynia, pozornie otaczająca miasto z trzech stron, ale z Morzem Czasu nie było żartów. Każdy, kto tam wszedł, po prostu topił się w czasie. Wyglądało to różnie. Niekiedy taki nieszczęśnik w okamgnieniu zamieniał się w szkielet, który rozpadał się w proch rozwiany przez wiatr, zanim przebrzmiał krzyk przerażenia; innym razem kurczył się w embrion, malejący coraz bardziej, aż zmieniał się w kroplę nasienia, która wsiąkała w suchą ziemię. Były też jeszcze ciekawsze efekty, przykładowo niebaczny wędrowiec zamieniał się w gromadę własnych sobowtórów, każdy w innym wie-

ku, które mnożyły się w tysięczne tłumy, po czym wyparowywały bez śladu.

Stracili w taki lub podobny sposób kilkunastu zwiadowców, którym nie pomogły diamentowe amulety, dobrze sprawdzające się wcześniej na obszarze laguny.

Koczownicy Ksina szybko nauczyli się więc nie przekraczać szerokiej na sto kroków linii wydm, ciągnących się poniżej miejskich murów, od strony przyszłości lub strony serca, patrząc według starego systemu orientacji.

Nazywali ten pas wydmami lub plażą, z braku lepszych słów, dlatego że piasku było tam dużo. Równie dobrze jednak można by nazwać owo miejsce śmietniskiem, ponieważ się tam bowiem sterty najrozmaitszych rupieci i złomu, pływającej lub głębiej zagrzebanych w przybrzeżnych łąkach. Morze Czasu wciąż wyrzucało mnóstwo przydatnych przedmiotów, więc koczownicy chodzili tam często. Co rano można było znaleźć miecze i sztylety, często zdane do użycia, niekiedy wyglądające jak prosto od płatnierz. Trafiały się i sprzęty domowe – garnki, krzesła, talerze, dzbany, dosłownie wszystko, co potrzebne, by walczyć lub żyć w pokoju. Wystarczyło być cierpliwym, a można było znaleźć każdą rzecz, jaką kto sobie wymarzył. Należało też mieć trochę szczęścia, by przybyć w porę i podnieść przedmiot, zanim w niebyt zabierze go fala czasu lub też ulegnie on rozpadowi. Na pograniczu przeszłości i terażniejszości procesy zniszczenia zachodziły wyjątkowo szybko, ale wystarczyło zabrać znalezisko z zasięgu fal czasu, by mogło ono długo i dobrze służyć.

W ten sposób na przykład Hamniesz założył kolekcję kuszy, zrobionych w najrozmaitszych czasach i światach.

Niestety w większości nie nadawały się one do użytku. Były to przeważnie resztki zdobionych luków, łoży i kolb, ale Hamnisz z wielką fascynacją badał pokrywające je motywy zdobnicze i podobieństwa między nimi. O szczegółach mechanizmów spustowych, ich różnicach, wadach i zaletach, sposobach wykonania orzecha potrafił rozprawić bez końca. Swoją pasją zaraził Hakonoza, który dla odmiany skrupulatnie wybierał z piasku ozdobne ostrza glewii i halabard. Doszło do tego, że dwaj najwięksi zabijacy w plemieniu stali się wybornymi znawcami historii sztuki i kiedy zaczynali się spierać o jakieś subtelne szczegóły grawerunków, nie sposób było wejść im w słowo. Podobnie rzecz się miała z Czemem, którego jednak bardziej interesowały wyrafinowane sprzęty domowe. Przynajmniej ci trzej czuli się tutaj naprawdę dobrze. I jeszcze Najsza, która dopiero co urodziła Hamniszowi syna. O czasie naturalnie przeznaczonym dla kobiety, czego inne o sobie powiedzieć nie mogły...

Istot żywych Morze Czasu nigdy nie wypuszczało ze swoich odmętów. Do brzegu podchodziło zawsze mnóstwo zjaw, niekiedy całe armie w szyku bojowym. Za pierwszym razem Ksin i jego lud najedli się wiele strachu, gdyż przewaga rzekomych najeźdźców była bodaj dwudziestokrotna. Nie mieli szans obronić Amarsin, a opuścić go nie chcieli.

Jednak wtedy, jak zawsze w kolejnych przypadkach, kiedy tylko widma przeszłości wkroczyły na obszar teraźniejszości, natychmiast przestawały istnieć. Nawet proch z nich nie pozostawał, rozwiewały się w dym i mgłę, a czasem nawet i to nie. Blakły i rozplywały się niczym przywi-

dzenia. Jednak przywidzeniami nie były. Z przywidzeniami się nie rozmawia, tymczasem póki nie wyszli na brzeg, byli to myślący i czujący ludzie. Chętnie opowiadali swoje historie spotkanym na plaży koczownikom. Czasem, kiedy spostrzegli, że słuchacze ich nie rozumieją, wykrzykiwali jakieś słowa, może imiona lub zaklęcia, z jakichś powodów bardzo pragnąc, by zostały zapamiętane.

W większości nikt oprócz Sara nie rozumiał języków zjaw. Dlatego też były złodziejaszek na rozkaz Ksina większą część dnia spędzał na plaży, rozmawiając z wyłaniającymi się z czasu postaciami. Miał za zadanie dowiedzieć się czegoś o historii Porzuconego Miasta, zwłaszcza zaś poznać powody, dla których zostało ono opuszczone. Jednak do tej pory widmowi przybysze pochodzili z zupełnie innych miejsc i czasów. Ich opowieści były niezwykle, często też nie zdawali sobie sprawy ze swego położenia, sądzili, że śnią lub mającą bądź też rzucono na nich jakiś czar.

Skutkiem tych rozmów Saro stał się kolekcjonerem mitów, co niewątpliwie uszlachetniło jego umysł i duszę. Zaczął się nawet uczyć czytać i pisać, by móc utrwalac zasłyszane historie. Nauczycielem był Hamnisz, więc siłą rzeczy nauka ta szła po ronijsku. Wraz z nim uczyło się kilkunastu bystrzejszych młodzieńców, który mieli wkrótce zostać urzędnikami tworzącego się Państwa.

W sumie wychodziło na to, że językiem urzędowym państwa koczowników Pierwszego Świata, założonego przez suminorskiego kotołaka, stanie się ronijski, którego Ksin nie znał. Należałoby stworzyć alfabet koczowników i spisywać ich mowę, ale była to ostatnia rzecz, która teraz

zajmowałaby kotolaka. Nie miał po temu odpowiedniego wykształcenia, a przede wszystkim martwiła go ciągłość własnej dynastii, która stanęła pod znakiem zapytania.

Zatem Saro o Porzuconym Mieście nie dowiedział się dotąd zupełnie nic. Raz, kiedy zdawało się, że przybysze z przeszłości mają coś istotnego do powiedzenia, cofająca się fala czasu zabrała ich w niebyt, zanim zdążyli odpowiedzieć na pytania.

No, może teraz... Procesja zjaw skierowała się ku brzegowi i osiągnęła go po kwadransie. Wyglądały jak grupa koczowników. Faktycznie zaś chyba nic ich ze sobą nie łączyło poza tym, że się spotkały i szły razem. Właściwie trudno powiedzieć, czy szły. Poruszały nogami, a zarazem niosła je fala czasu, czasem nagle zwiększając i zmniejszając ich odległość od brzegu. Dystanse przestrzenne na Morzu Czasu nie miały większego znaczenia, wciąż skracaly się lub wydłużały. Szaman Niczro mówił, że w ten sposób przedstawia się ludzkim zmysłom falowanie czasu. Ciekawe, jak wyglądał tu sztorm? Chyba dobrze, że jeszcze żadnego nie przeżyli. Tylko jak rozpoznać zapowiadające go znaki?

Pytania... Morze pytań...

Na określenie zjawisk dziejących się za murami miasta lepiej byłoby wymyślić własne nazwy, niż używać określeń stosowanych przez mieszkańców morskich wybrzeży, bowiem ta analogia częstokroć zawodziła. Po Morzu Czasu nie można było żeglować ani niczego w nim łowić. Wszakże Ampeker za nowy cel życia obrał budowę magicznego korabia, pozwalającego pływać przez czas, ale na razie szło mu to niesporo. Szczerze powiedziawszy, zupeł-

nie nie wiedział, od czego zacząć. Zebrał jednak garść, jego zdaniem, uzdolnionej magicznie młodzieży i wzorem Hamnisza stworzył dla nich coś na kształt szkoły, tyle że magii, z której jak dotąd żadnego pożytku nie było, chyba że pożytkiem nazwać zabawianie dziatwy pokazami drobnej iluzji, co adepci nader chętnie praktykowali. Ich największym osiągnięciem była magiczna maska zastępująca twarz Czaszkuna. Co prawda dzięki niej okaleczony setnik mógł już mówić bez imitowania policzków i warg za pomocą dłoni i palców, ale nie dawało się rozstrzygnąć, kiedy Czaszkun wyglądał bardziej nieludzko – z tą iluzją wokół głowy czy bez niej.

Ampeker zapewniał, że to drobiazg, że znajdą sposób, by to poprawić, nie ma się czym przejmować. Plany miał naprawdę wielkie. Kotołak mitygował go stale, podkreślając, że najważniejsze jest poznanie historii ich miasta, a on i jego adepci powinni skupić się na rozwikłaniu znaczenia tutejszych reliefów i hieroglifów pokrywających ściany świątyń i siedziby dawnych władz. Zapewne wtedy dałoby się zrozumieć stan Amarelis.

Wszakże nie można było określić, na ile te życzenia do Ampekera docierały. Sędziwy mag wręcz śnił na jawie. Żeby postawić sprawę bardziej stanowczo, Ksin musiałby mu powiedzieć, od czego ma zacząć, a tego nie wiedział sam...

Kotołak odpędził od siebie jałowe myśli, skupił się na tym, co tu i teraz.

Bardziej wychylił się z blanki, żeby lepiej widzieć. Siedzący na plaży Saro podniósł się właśnie i wyszedł na spotkanie widm. Jak zwykle kilka z nich spróbowało wyjść

na brzeg i zapadło się w nicość oraz w bezkształtne szczątki, znajdowane zwykle na dnie najstarszych grobów.

Pozostałe zjawy, wyraźnie zaskoczone i wystraszone, stłoczyły się na Płyciźnie Czasu. Po chwili jedna z postaci wystąpiła i z bezpiecznej odległości zaczęła rozmawiać z Sarem. Nie trwało to długo. Nagła, niewidzialna fala uderzyła od tyłu w zgromadzone widma i wbrew ich woli wypchnęła je na brzeg, całkowicie unicestwiając. Saro ze stoickim spokojem zniósł pozorną groźbę stratowania przez pędzący na niego tłum zjaw, po czym obejrzał się, odszukał wzrokiem stojącego na murze kotołaka i bezradnie rozłożył ręce.

Znowu nic!

Od kiedy tu przybyli, Ksina prześladowała myśl, że mieszkańców Porzuconego Miasta wygubiły potwory Onego. Z uporem starał się wyczuć choćby najmniejsze oznaki demonicznej Obecności.

I wyczuł...

Jedyna Obecność, którą zdołał tutaj wykryć, miała swoje źródło w wezbranym łonie Amarelis... Co gorsza, był to już blisko rok ciąży, a jego żona wciąż nie rodziła. Zamiast porodu zaczęła się demoniczna przemiana płodu. Lub, żeby powiedzieć to bardziej ogólnie, słowami Assisa, po ciąży naturalnej zaczęła się ciąża nadnaturalna.

Szczerze mówiąc, na naturze w tym przypadku od samego początku nie należało polegać. Nie powinno być też dla Ksina zaskoczeniem, że jego syn również będzie demonem. Ale było. Wbrew rozsądkowi przyzwyczaił się do myśli, że jego dziecko będzie takie samo jak inne – lub prawie. Przebudzona w płodzie Obecność okazała

się wstrząsem. Czy jego potomek będzie umiał okiełznać swoją naturę? I na ile można wymagać takiego opanowania od niemowlęcia?

Ksin był pewien jednego i zapowiedział już Assisowi, że jeśli dziecko wyjdzie z Amarelis, rozrywając jej brzuch, on niezwłocznie własnoręcznie rozszarpie je na strzępy. Zabije je też, jeżeli Amarelis umrze przy porodzie z jakiegokolwiek innej przyczyny. Assis wiedział, że kotołak nie żartuje, i nie odstępował brzemiennej królowej na krok. Pytanie tylko: co jeszcze mógł zrobić? I czy był w stanie czemukolwiek zapobiec...?

Sama Amarelis nadrabiała miną i dumą. Nie pozwalała już mężowi zbliżyć się do siebie, ani cielesnie, ani duchowo. Wszystko, cokolwiek robiła, czyniła z posągową wyniosłością. Nikomu się nie zwierzała i nikomu nie okazywała słabości. Odepchnęła nawet Arpię, mimo że wspólnie przeżywany stan odmienny powinien był raczej siostry do siebie zbliżyć. Zwłaszcza że Arpia, najwyraźniej złączona z Amarelis magiczną nicią, też nie mogła urodzić. Jej ciąża trwała już jedenasty miesiąc, ale Assis zapewniał, że poza tą kwestią z jej dzieckiem jest wszystko dobrze. Z jakiegoś nadnaturalnego powodu Arpia nie mogła urodzić przed starszą siostrą. Tylko tyle i aż tyle. Niczro mówił coś o woli bogów i ich specjalnych łaskach dla Amarelis, ale nikogo to nie uspokajało.

Arpia z trudem znosiła brak wsparcia. Nie mogła go zresztą oczekiwać od nikogo. Była przede wszystkim wojowniczką, Matką Śmierci, a zbliżające się prawdziwe pierwsze macierzyństwo oraz jego magiczne powikłanie stawały się dla niej ciężarem ponad siły.

Zgodnie z plemiennym obyczajem Arpii nie przysługiwały żadne przywileje, jakimi mogły się cieszyć zwykłe młode mężatki, zwłaszcza w pierwszej ciąży. Matka Śmierci, skoro już poczęła i miała dać nowe życie wbrew swej przysiędze oraz przeznaczeniu, powinna urodzić chyłkiem, bez mała wstydliwie, nie zaniedbując żadnych obowiązków. Najlepiej by było, gdyby na zawsze pozostała dziewicą-zabójczynią. Obcowanie z mężem, Ojcem Umierania, nie było tym, czego przede wszystkim oczekiwano od kobiety w małżeństwie zawartym przez Miecz, Topór i Oszczęp. Mieli wspólnie zabijać, ale spać razem – niekoniecznie.

Arpia nie tylko nie miała prawa do ulg w żołnierskich obowiązkach, lecz także nie miała prawa po porodzie karmić i wychowywać swojego dziecka. Powinna oddać je na wychowanie rodzinie. Zapewne dojrzalsza kobieta zniosłaby to wszystko lepiej, lecz Arpia miała dopiero piętnaście lat. Cóż, przyszło jej teraz płacić wielką cenę za dziewczęce swawole.

Chwilami szwagierka Ksina zachowywała się jak rozżalone dziecko, a Hakonóz nie dość że zupełnie nie wiedział, co w takich chwilach ma robić, to jeszcze, zgodnie z obyczajem, zobowiązany był tego nie zauważać. Zaczął jej więc unikać i towarzyszyć Ksinowi w innych godzinach niż ona. W praktyce obowiązek opieki nad Arpią spadał więc na kotołaka, który przecież nie mógł okazywać jej jawnych względów... Wszystko się plątało i komplikowało.

W ich rodzinie bardzo przydałaby się teraz jakaś starsza, doświadczona kobieta, umiejąca złagodzić rosnące napięcie, ale w klanie Amarelis nie było nikogo odpo-

wiedniego. W całym plemienu zaś żadna z kobiet nie śmiałyby bez zachęty potraktować Najdostojniejszej jak własnej córki i udzielić jej jakichkolwiek pouczeń czy okazać poufałości.

Zamiast więc cieszyć się z bliskich narodzin potomków, rodzina Ksina żyła tak, jakby każde z nich istniało osobno, w strachu przed przyszłością i własnymi uczuciami. Stary Ampeker widział to i rozumiał, ale on też nie zamierzał się wtrącać, ograniczywszy się do wyrazów współczucia i zrozumienia dla ciężaru władzy, który – jak widać – nie zawsze był miły. Doprawdy krótko trwała euforia po przybyciu do Amarsin.

Autorytet księżęcej, a właściwie już królewskiej rodziny nie pozwalał, aby ktokolwiek okazywał im litość. Zresztą cóż to była za królewskość? Królem to był Redren w Suminorze. Tutaj, według suminorskiej miary, kotolak był co najwyżej burmistrzem podupadłego, prowincjonalnego miasteczka. Nawet tytuł księżęcy na takie włości to było grubo za dużo. Ktoś taki królem? Jawna drwina! Tolerował to tylko dlatego, że inni nalegali.

Ksin zdał sobie sprawę, że jego oparte o blankę dłonie mimowolnie przekształciły się w szpony, które mocno wpiły się w kamień. Rozluźnił się trochę i cofnął Przemianę. Tak zdarzało się zawsze, kiedy myślał o braku przyszłości i niebezpieczeństwie grożącym Amarelis. Nie tak miało być! Wszystko nie tak! Nie miał być ojcem istoty podlegającej mocy Onego. Nikt tego nie przewidział. Assis na początku ciąży zapewniał, że to niemożliwe. Pytanie, czy uzdrowiciel kłamał... Przysięgał, że nie, że sam

nie rozumie tego, co zaszło w łonie Amarelis, lecz gdyby miał ukryty zamiar, czyż powiedziałby co innego?

„Do tego wszystkiego staję się podejrzliwy...”. Kotołak odetchnął głębiej. W tym dziwnym mieście z pewnością nie takie rzeczy mogłyby się zdarzyć. Więc może nie jest jeszcze tak źle?

Zszedł z murów i skinął głową na Arpię siedzącą u stóp schodów. Powstała ciężko, opierając się na włócznie. To był pomysł Ksina, żeby zamiast wspinać się za nim na blanki, czuwała przy schodach oraz aby oprócz swej zwykłej procy nosiła broń, na której mogła się oprzeć. Było zupełnym absurdem, żeby nastolatka w przenoszonej ciąży, mocno osłabiona fizycznie i duchowo, wciąż pełniła służbę jako przyboczna straż człowieka-demonia w pełni sił. Jednak Ksin nie mógł jej zwolnić, nawet czasowo, nie łamiąc plemiennych obyczajów, a ich lekceważenia się już oduczyl. Nie wolno było dawać żadnych pretekstów nieprzychylnym członkom starszyny, tym bardziej że owe niepisane zwyczaje stanowiły jedyną rzecz trzymającą w kupie tę koczowniczą zbieraninę. Arpia należała do jego osobistej ochrony, oficjalnie i z własnej woli, a jej stan i wiek nie miały tu nic do rzeczy. Chyba że w grę wchodziłaby rana odniesiona w bitwie, ale akurat jej rana głowy zagoiła się bardzo dobrze, pozostawiając tylko cienką różową bliznę, wysuwającą się spod włosów ku nasadzie nosa.

Ksin ruszył przez miasto. Starał się iść powoli, by nie męczyć dziewczyny. Prócz Arpii towarzyszyło im jeszcze dwóch młodych wojowników z drużyny Czaszkuna. Królewska świta...

Nigdzie nie mógł się ruszyć bez co najmniej trzech osób w orszaku. Kolejny absurd, ale na to przynajmniej była jakaś rada. Należało zacząć rządzić! Ustanawiać prawa i obyczaje, wyznaczać cele i je osiągać!

Tylko jakie cele? Od kiedy przybyli do Porzuconego Miasta, sprawy zaczęły iść w dokładnie odwrotnym kierunku. Koczownicy znaleźli swój wymarzony raj i niczego więcej, zwłaszcza dyscypliny, już nie potrzebowali. Zapadli w beczynny błogostan i interesowało ich wyłącznie to, aby ich władca stwarzał stosowne pozory. Jedyne zatem, co Ksinowi pozostawało do roboty, to codzienne obchody władcy, co też właśnie czynił. Przed południem miał udzielać audiencji i rozstrzygać spory, ale z takowymi niemal nikt nie przychodził. Skończyły się sąsiedzkie kłótnie, od kiedy każda rodzina mogła zamieszkać w osobnym domu, a klany – przy innych ulicach albo wręcz dzielnicach. Ci, którzy się nie lubili, mieli w Amarsin naprawdę wiele możliwości, by nie wchodzić sobie w drogę. Kraść też nie było potrzeby, wszystko, co niezbędne do codziennego życia, mieszkańcy otrzymywali niemal za darmo.

Każdego dnia około południa Ksin szedł więc na mury popatrzeć na Morze Czasu, po czym, jak teraz, udawał się w przeciwną stronę, by zajrzeć do Ogrodów Młodości. Właściwie były to pola uprawne, gdzie tak precyzyjnie uregulowano przepływ czasu, że po tygodniu od siewu zbierało się już dojrzałe plony. W niektórych miejscach wystarczał nawet dzień. Z kolei przyspieszając czas, w ciągu jednej nocy sprawiano, że wyrzucone na pole odpadki zamieniały się w żyzny nawóz, a ziemia odpoczywała.

Regulowały to wszystko magiczne obeliski z granatowego bazaltu, wzniesione w narożnikach pól. Pokrywające je ryty były na tyle oczywiste, aby bez większych problemów dało się pojąć ich przeznaczenie i sposób obsługi. Robiło się to, pocierając obelisk dłonią w oznaczonych kierunkach. Tylko siew i zbiory wymagały nakładu pracy, wykonywanej wszakże zupełnie bez pośpiechu, gdyż czego jak czego, ale czasu było tutaj dosyć...

I nie tylko rośliny na tych terenach uprawiano. Wchodząc na pole, można było samemu poddać się zmianom biegu czasu, dzięki czemu starcy na kilka godzin odyskiwali młodość, co kończyło się najczęściej miłosnymi igraszkami, póki była okazja. Dzieci jednak z tego nie było, a raczej miało nie być. Ampeker mówił, że poczęte w takich okolicznościach potomstwo nie będzie miało dusz. Nawet gdyby doszło do ciąży, a ta skończyła się rozwiązaniem o czasie, należy oczekiwać, że dziecko przyjdzie na świat martwe. Na razie jednak było za wcześnie, by sprawdzić to proroctwo. Należało poczekać.

Czekać... Czekać... Czekać...

A tymczasem Państwo, które założyli, grzęzło w kompletnym marazmie i stawało się własną karykaturą. A może poprzednich mieszkańców Amarsin zabrała właśnie jałowa nuda? Pograżyli się w bierności i samozadowoleniu, gnuśnieli, aż wymarli? Zabrał ich czas? Niepostrzeżenie przeminęli? Zabrało ich tsunami na Morzu Czasu? Czy może raczej sami się w nim zbiorowo utopili?

To ostatnie wydawało się całkiem prawdopodobne. W Opuszczonym Mieście nie było żadnych cmentarzy, ale akurat tę zagadkę zdołali rozwiązać. Wystarczająco jasno,

właściwie wprost, objaśniły ją świątynne reliefy. Zmarłych wrzucano do Studni Czasu. Mieli tu takie dwie, nawet zostały odnalezione. Do jednej spuszczano ciała szacownych zmarłych, do drugiej straconych przestępców. Stały w przeciwnych kątach dziedzińca jednej ze świątyń. Czym się różniły prócz zewnętrznych ozdób, doradcy Ksina dojść nie zdołali. Poza tym, że według wszelkiego prawdopodobieństwa obie studnie grzebalne nie miały dna. Kiedy wrzucali do nich pochodnie, spadały one tak długo, aż się wypaliły i zgasły. Także wymyślnie skonstruowane lampy oliwne spadały tam dopóty, dopóki nie wypalił się w nich cały olej...

Ponieważ paru starców tymczasem dożyło już swoich lat, studnie grzebalne okazały się kolejnym z miejskich urządzeń, z których nauczyli się korzystać. Właściwie tylko z jednej studni, bo dotąd nie było powodu nikogo tracić. Koczownicy wydawali się zbyt szczęśliwi i zadowoleni, aby się ostro wadzić i popełniać zbrodnie. Była to niewątpliwie jaśniejsza strona ich politywania godnej egzystencji.

W duszy Ksina dominowało poczucie, że sami się grzebią tutaj za życia. Jeśli Amarelis umrze, to przecucie stanie się rzeczywistością. Czy wtedy cokolwiek będzie go jeszcze tutaj trzymać?

Kotołak uniósł głowę i popatrzył na ulicę, którą właśnie niespiesznie szli.

To była najbardziej reprezentacyjna ulica miasta. Budynki stojące po obu stronach miały po trzy, cztery piętra oraz bogato rzeźbione fasady, nadproża i obramowania okien. Widać było, że mieszkańcy musieli niegdyś ze sobą

wręcz współzawodniczyć w zdobieniu domostw. Z rzeźbionego piaskowca wykonano elementy najskromniejsze. Marmury też były na drugim planie. Dominowały rzeźby z jaspisu, nefrytu, jadeitu, malachitu, lapis-lazuli. Kamienie wprawdzie półszlachetne, ale ich nagromadzenie w takich ilościach świadczyło o nadzwyczajnej zamożności poprzednich właścicieli.

I prawie nic z tego nie było uszkodzone, tylko co najwyżej ukryte pod warstwą kurzu czy jakiegoś zaschłego błota, które nie wiadomo skąd się wzięło. Spadło z deszczem? Jako pył wulkaniczny? Kiedy i dlaczego? W każdym razie z tego powodu nie dostrzegli tych ozdób podczas pierwszych rekonesansów. Teraz po odczyszczonych do połysku fasadach można było rozpoznać domy, w których ktoś zamieszkał. Jedyne dostrzegalne uszkodzenia zostały spowodowane zębem czasu, co znaczyło, że powodem opustoszenia miasta nie był najazd, gdyż po tym zostałyby też nagie i pokaleczone mury, z których wyrwano by najcenniejsze ozdoby.

Czego więc jeszcze o tym mieście nie wiedzieli?!

Ksin ugryzł się w język, by nie powiedzieć „przeklętym mieście”. „Żyjemy wśród zagadek, lecz coraz mniej chce się nam je rozwiązywać” – pomyślał. Ale też niespecjalnie było się czemu dziwić. Ogrody Młodości zapewniały szybkie i łatwe plony, z kolei otoczenie miasta nie zachęcało do wypraw, znikwały zatem powody do współdziałania. Każdy cień konfliktu kończył się przeprowadzką kilka domów lub ulic dalej. Wręcz wydawało się dziwne, że jeszcze niedawno ci sami ludzie potrafili żyć ze sobą w jednym obozie.

Na dodatek ci, którzy nie znaleźli sobie zajęcia, stopniowo odzwyczajali się od wszelkiej pracy. To, co kiedyś robiono w parę godzin, teraz w nastroju ogólnego rozleniwienia zajmowało dni i tygodnie. Choćby praca na polach. Koczownicy umieli zakładać ogrody i uprawy zbóż, prawo wiecznej wędrówki nakazywało tylko nie robić tego więcej niż trzy razy w jednym miejscu, gdyż byłaby to obraza bogów Stepu. Zresztą po trzech latach ziemia i tak jałowiała, więc trzeba było odejść. Tu zaś osiągnęli już cel wiecznej wędrówki... zgodnie z wolą bogów. Jednak, co najdziwniejsze, wystarczyło ledwie kilka miesięcy, aby koczownicy przestali pragnąć czegokolwiek poza czystą przyjemnością. Można by pomyśleć, że dotknęła ich jakaś klątwa...

„Trzeba zacząć rządzić! – postanawiał Ksin już niejeden raz. – Zebrać siły i wyznaczyć jakikolwiek nowy cel!”. Tylko co mieliby robić...? Wzniesć kolejny gmach, skoro tyle ich stało pustych? Czy wracać na step, żeby coś się działo? Jednak cokolwiek kotołak chciał zrobić, najpierw wołał poczekać, aż Amarelis urodzi. Ona zaś nie rodziła...

Tak koło jałowego wyczekiwania się zamykało. W ostatnich tygodniach coraz bardziej pewna wydawała się kotołakowi myśl, że poprzedni mieszkańcy miasta, ogłupieni przesytem, w pewnej chwili wszyscy, co do jednego, wskoczyli głową w dół do Studni Czasu, gdyż było to jedyne doświadczenie zdolne przełamać bezmiar nudy. Tutaj chyba nawet bogowie spali! Od wielu dni nikt – ani nic – nie odpowiadał na wezwania szamana.

Pozostał więc tylko codzienny rytuał. Każdy dzień biegł już tym samym, utartym rytmem. Zaraz wyjdą z miasta,

obejdą Ogrody Młodości. Ksin wysłucha tych samych raportów, że plony zapowiadają się wspaniale, i dwie godziny później będzie z powrotem w pałacu. Jak zwykle złoży wizytę Amarelis i zamienią ze sobą kilka suchych formuł, zapewniających o wzajemnym szacunku, miłości i zainteresowaniu. Unikając patrzenia sobie w oczy.

Im większy lęk, tym głębsza ucieczka w rytuał. Assis jak zwykle pokręci głową na znak, że nie ma żadnych zmian, po czym szybko zejdzie kotołakowi z oczu. Jedyłą weselszą rzeczą będzie wieczorna uczta przygotowana przez Hamnisza. Kusznik poświęcał przedpołudnia na zbieranie, czyszczenie i badanie resztek kusz, tudzież uczenie Sara alfabetu. Po południu zaś brał się do czynienia kulinarnych cudów. Pałacowa kuchnia, którą całkowicie wziął w posiadanie, była w tej chwili najbardziej prężną instytucją w ich młodym państwie.

Hamnisz zebrał tu drugą grupę młodzieży, zwłaszcza panien pragnących przypodobać się przyszłym mężom, i stworzył z nich Akademię Jedyńie Prawdziwej Magii, tej kulinarnej, jak ciągle dogadywał Ampekerowi. Nie da się ukryć, że postępy uczniów i uczennic Hamnisza były w istocie większe.

Co dzień na książęcym stole pojawiała się coś nowego, bardziej zaskakującego. Nawet Redren nie miał takich kucharzy, a oni wszyscy razem nie byli w stanie dorównać Hamniszowi. Aż trudno uwierzyć, że Ronijczyk zabił więcej ludzi, niż przygotował potraw. Zawsze zadziwiał, kiedy trafiała mu się okazja pokazania swego drugiego talentu, ale teraz już przechodził sam siebie. W piwnicach pałacu Hamnisz znalazł kilka magicznych spizar-

ni z regulowanym przepływem czasu, dzięki czemu stare wina i leżakujące w dębowych beczkach destylaty, doskonale skruszałe mięsiva oraz dojrzałe sery były ozdobą wieczornych uczt. Skutkiem zabiegów ronijskiego najemnika dni kończyły się znacznie lepiej, niż zaczynały. Pod koniec wieczoru nawet Amarelis zdobywała się na uśmiech i żywsze słowo.

Doprawdy szkoda, że tylko kuchnię mieli tu na królewską miarę. Ale może od czegoś należało zacząć?

– Mój królu! – rozległ się głos Assisa. Uzdrowiciel wyszedł z najbliższej przecznicy.

– Zostawiłeś królową samą?! – wybuchnął Ksin na jego widok.

– Z Najdostojniejszą jest Niczro. Właśnie wszystko naszej pani objaśnia...

– Co objaśnia?! – Kotołak stanął jak wryty.

– Znaleźliśmy sposób! – oznajmił Ampeker, wychodząc zza rogu. Wyglądało na to, że obaj bardzo spieszyli się z tą wiadomością i starzec został z tyłu.

Ksin milczał i czekał, aż sami mu wszystko powiedzą.

– Wiemy, jak sprowadzić poród i zarazem zdjąć urok z nienarodzonego dziecka – zaczął mówić Ampeker.

Zapewne jako król i mąż powinien był teraz okazać żywiołową radość, ale Ksin jedynie zmarszczył brwi. Znał prawa magii dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że...

– Za jaką cenę? – spytał oschle.

Assis tylko chwilę wahał się z odpowiedzią.

– Najdostojniejsza musi się stać taka jak jej małżonek...

– Chcecie na Amarelis rzucić urok Przemiany w kotołaka? W kotołaczkę...?

– Tak, królu.

Nie wiedział, czy ma się śmiać, czy wpaść we wściekłość. Zdobył się jednak na rozsądek.

– Jak posiadliście tę wiedzę?

– Saro odczytał znaki na ścianie w tutejszej świątyni wiedzy.

– Jak odczytał?! – Ksin wzruszył ramionami. – Przecież on ledwie sylabizuje po ronijsku...

– Mylisz się, królu. Kiedy ostatni raz widziałeś go czytającego?

– Jakieś dwadzieścia kilka dni temu... – odparł kotołak po namyśle.

– Dar języków Sara obejmuje też język pisany – objaśnił Ampeker. – Nie wiedzieliśmy tego ani my, ani on, dopóki Hamniesz nie zaczął go uczyć. Już dwa tygodnie temu Saro osiągnął pełną biegłość w zakresie alfabetu ronijskiego, po czym sam z siebie zaczął czytać i rozumieć każdy rodzaj znaków pisma. Wystarczyło tylko, że pojął ideę zapisywania myśli. Od tygodnia Saro czyta wszelkie tutejsze hieroglify...

– Dopiero teraz mi o tym mówicie?!

– Uznaliśmy, że należy poczekać, aż wyniknie z tego coś pożytecznego. Dziś rano uzyskaliśmy potrzebną wiedzę.

– Chodźmy do pałacu! – zdecydował Ksin. – Po drodze mi opowiecie!

Nie odezwał się ani razu, słuchając mówiących na przemian Assisa i Ampekera. Mówili o krwi kota, którą należy mieszać z krwią Amarelis, i truciźnie, która na krótki czas przeniesie ją oraz nienarodzone dziecko poza granicę śmier-

ci, aby Przemiana mogła zostać przemieszczona z płodu na matkę. I o tym, że Najdostojniejsza zaraz po przebudzeniu będzie musiała zaspokoić swój pierwszy głód krwi...

Arpia została daleko w tyle, ale tym razem nikt się za nią nie oglądał. Z zaciśniętymi zębami, jedną ręką podtrzymując wyдутy brzuch, drugą wspierając się na włóczni, szła najszybciej, jak mogła. Usłyszała jednak dosyć, by znów mieć nadzieję i poczuć się silną Matką Śmierci.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks: 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel.: 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.
Antalis Polska*

Redakcja *Ewa Mościcka*
Korekta *Zofia Kozik, Malwina Łozińska*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12855-3

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017 r.
Wydanie pierwsze
Druk: POZKAL, Inowrocław